

Zdzisław Beksiński – Fotograf snów i marzeń

Malarska spuścizna, zwłaszcza wcześniejszych epok, obfituje w dzieła autorów, którzy potrafili odwzorowywać rzeczywistość ze zdumiewającą dokładnością, spijać natchnienie wprost ze skąpanych w promieniach słońca kielichów kwiatowych lub przekazać w formie swoich prac jakąś klarowną, sprecyzowaną myśl. Byli jednak i tacy, którzy ciesząc się warsztatem technicznym godnym wytrawnych hiperrealistów, przekraczali granice artystycznej celebracji prozy życia, przenosząc na płótno znacznie więcej, niż choćby najpiękniejsze oblicze codzienności.

Powiedzieć, że twórczość Zdzisława Beksińskiego jest pozaziemskiej proveniencji, to jak obrazić Mistrza ohydny banalem. Nie bez powodu odmawiał interpretowania swoich własnych dzieł. Nie bez powodu niechętnie udzielał błogosławieństwa tym, którzy się ośmielali. Nie bez powodu pozbawił je tytułów. Przypadek sanockiego Tuza jest bowiem świetną okazją do zakwestionowania roli, jaką powszechnie przypisuje się artyście. Przecież ów hipotetyczny demiurg wydaje się poddawać działaniu sił, których istoty sam nie potrafi w pełni zrozumieć, w procesie, który „twórczym” nazywać możemy wyłącznie umownie. Wierność tłumaczenia podszeptanych przez owe potęgi prawd na język pędzla może być różna, bo i na różnych płaszczyznach i w różnym stopniu nim władano. Posługujący się nim biegle Zdzisław Beksiński jawił się natomiast jako medium czyste, nieskażone pragmatyczną chęcią schlebiana tanim gustom czy cenzorską obawą kontrowersyjności. O ile wena wielu wirtuozów palety rozkwitała na łonie natury, o tyle jego z powodzeniem zadowalała dżungla betonowa, co niejednokrotnie znajdowało odbicie w samym malarstwie. Redefiniując farbą olejną na zagruntowanej płycie pilśniowej pojęcia piękna i brzydota wyciągał na światło dzienne senną, a dla wielu z pewnością koszmarną, rzeczywistość. W licznych utworach Luminarz portretował jednostkę tragiczną, bo z góry skazaną na porażkę w swej rozpaczliwej krucjacie po sens bytu, w swej beznadziejnej ucieczce przed przemijaniem, samotnością i zapomnieniem, w swym szaleńczo niespełnionym pragnieniu boskości. Ogół zjawisk ostatecznych i absolutnych był w stanie zmieścić w płaskiej powierzchni metra kwadratowego, ale twórczość tego wszechstronnego Artysty to nie tylko oszałamiające ujęcia dekompozycji czy umierania, ale również i miłości, która zarówno w fizycznym, jak i transcendentnym wydaniu domykała w jego nietuzinkowej optyce cykl życia. Wiszące nad dachem Beksińskich widmo śmierci odnalazło w końcu drogę na skryte pod nim sztalugi. Niefortunny dla zainteresowanego, lecz szczęśliwie dla nas, gdyż oddanych z większym kunsztem motywów cierpienia, odchodzenia i rozkładu prawdopodobnie nigdy już nie dostaniemy. Gdy uświadomimy sobie jednak, jak daleki od stereotypu malującego od święta, a na co dzień skąpanego w używkach artysty był pan Zdzisław, jego sylwetka nabierze jeszcze ciekawszego kolorytu. Zakasując rękawy skoro świt, podchodził do

pracy twórczej z robotniczym wręcz poczuciem obowiązku. Efekt znany wszyscy: turpistyczne motywy jak żywe, fantastyczny świat prawdziwszy, niż ten sprzed naszych oczu.

Krytykom sztuki utrzymującym, że dorobek tragicznie zmarłego Twórcy odznaczał się nierównym poziomem należy uczciwie przytaknąć, co nie zmienia faktu, że większość może równać tylko do dolnej granicy wahań jego formy. W wywiadzie dla kwartalnika *Artysta i Sztuka* Wiesław Banach – dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku – powiedział, że dla Zdzisława Beksińskiego „malarstwo miało być narzędziem zastępczym, za niewynaleziony >>aparat do fotografowania snów i marzeń<<” i doprawdy trudno spiąć powyższe zagadnienie klamrą lepszego stwierdzenia.